

Tomasz Sulewski: Troska o ks. Adama

Nie każdy zakaz ma na celu krzywdę i pozbawianie wolności drugiej osoby



Nie każdy zakaz ma na celu krzywdę i pozbawianie wolności drugiej osoby

Przez polskie media przetacza się debata: "czy wolno ks. Bonieckiemu zabronić wystąpień?". Rozprawiają o tym poważne tytuły i dziennikarskie tuzy, w internecie powstają "grupy obrony" i "grupy satysfakcji". Dyskusja prowadzona jest przy tym w tonie co najmniej takim, jak gdyby były redaktor naczelny "Tygodnika Powszechnego" został obłożony ekskomuniką i to jeszcze w czasach, kiedy taka

ekskomunika robiła wrażenie na ogóle obywateli, a w następstwie tego miał być wtrącony do celi i karmiony suchym chlebem. Wytacza się wielkie działa - decyzja przełożonych księdza miałyby być dowodem na tłamszenie demokracji w Kościele, odbieraniem wolności, cenzurą w orwellowskim stylu, dowodem na upadek biskupów, itp. Za wieloma tego typu wypowiedziami stoi zapewne autentyczna troska i brak zrozumienia motywów takiego posunięcia, podlane emocjami. Jednak fakt, iż w obronie marianina niezmiernie głośno gardłują osoby, które na co dzień udowadniają, iż z dbaniem o Kościół mają niewiele wspólnego (na czele z niezmiernie zaniepokojoną szykanowaniem go Joanną Senyszyn) każe zapytać, czy przypadkiem nie ma tu czegoś na rzeczy.

Problem z ks. Adamem Bonieckim nie polega wcale na tym, że mówił, ale gdzie i jak mówił. Ciężko jest, przy rzeczowej analizie, jego wypowiedziom odmówić logiki i spójności, jak również osadzenia w autentycznie katolickim duchu. Jednak to, co w innej sytuacji (np. na kanapie w klasztorным pokoju) byłoby być może subtelną i inspirującą rozmową o fundamentach wiary i niuansach w życiu katolika, w warunkach medialnych jest siłą rzeczy zwulgaryzowane i spłaszczone. Media - szczególnie te duże - nie są bynajmniej miejscem do rzeczowych analiz. Wprost przeciwnie - z zasady nastawione są na wyłapywanie "smaczków", łapanie za słowa i nastawianie rozmówców przeciw sobie. Liczy się krew. A im bardziej ktoś im się "podłoży", tym lepiej. Jego własne intencje nie mają większego znaczenia. W świecie, w którym oczekuje się bieli lub czerni, mówienie odcieniach szarości jest mało skuteczne, a w konsekwencji najczęściej prowadzi do wniosku, że "skoro tak, to znaczy, że wszystko jest szare". Ks. Adam, niestety, nie uniknął wpadania w tę pułapkę.

Co więcej, nie da się nie zauważyć, że otwartość, potrzeba wychodzenia "naprzeciw" i zwykła dobroć ks. Bonieckiego od wielu lat były

wykorzystywane przez różnych "zatroskanych" o Kościół, którzy - gdy było im to wygodne - erudycyjne wypowiedzi kapłana, w wersji już zbanalizowanej, wykorzystywali jako poręczny bat na nieodpowiadające im aspekty katolickiego nauczania. Nie inaczej było w ostatnich miesiącach, kiedy to słowa marianina były najczęściej prezentowane w takich kontekstach, że łatwo było je odebrać jako troszczenie się bardziej o dobre samopoczucie ludzi występujących przeciwko katolicyzmowi i społecznemu porządkowi, niż o obronę przed niesłusznymi atakami na osoby wierzące i ich wrażliwości. Ostatecznym więc, "masowym" efektem medialnej aktywności ks. Bonieckiego nie było wcale rozjaśnianie katolickiego nauczania, ale dostarczanie "pożywki" i poręcznych argumentów do dzielenia i "rozgrywania" katolików. I choć nie mam wątpliwości, że działo się to wbrew konstytutywnym zamierzeniom ks. Adama (który w moim przekonaniu nie miał nigdy ambicji rozczłonkowania katolickiej społeczności), to jednak było faktem, wobec którego nie można nieustannie przechodzić obojętnie. Jeśli nie przez troskę o dobro wspólnoty, to choćby tylko przez szacunek do 77-letniego kapłana i jego dorobku.

Dlatego też, jak mniemam, przełożeni ks. Bonieckiego postanowili ograniczyć pole jego aktywności publicznej do łamów "Tygodnika Powszechnego". Nie jest to, wbrew gorączkowym reakcjom niektórych komentatorów (znowu - czyżby przypadkiem? - prym wiodą tutaj ci "zatroskani"), cenzura czy knebel, ale raczej zapobieganie uprzedmiotowianiu działalności tego kapłana, z czym on sam - może przez naiwność, a może przez nazbyt dobre serce - sobie nie radził. Wydaje się, że krakowskie pismo to jedno z lepszych w Polsce miejsc do prowadzenia niebanalnej dyskusji o Kościele i jego kondycji. Tyle, że takie debaty lepiej jest - w naturalny sposób - odbywać na swoim własnym podwórku i na własnych zasadach, niż na salonach mediów, którym, bądźmy szczerzy, nie zależy raczej zbyt na integralnym i

pomyślnym rozwoju Kościoła - co najwyżej na jego dokrojeniu do ich prywatnych wyobrażeń. I nie oznacza to bynajmniej zamknięcia się na opinie innych, także krytycznie nastawionych komentatorów. Pozwala jednak uniknąć rozmów płaskich i skoncentrowanych na tym, jak tu dyskutanta docisnąć do ściany "ciemnogrodu".

Nie każdy zakaz ma na celu krzywdę i pozbawianie wolności drugiej osoby. Jednocześnie także nie każde ograniczenie pola wypowiedzi musi być karą. Może więc, zamiast szukać niepotrzebnie skandalu, warto na "Boniecki-gate" popatrzeć także z tej perspektywy i uszanować, w duchu zrozumienia, decyzję władz zakonnych, która nie łamie ani prawa, ani obyczajów. Na pewno będzie to zdrowsze dla Kościoła niż pełne egzaltacji pokrzykiwania Krystyny Jandy, która "tak się zbulwersowała, że powiedziała: występuję z Kościoła". I tak Bogiem a prawdą, gdy w reakcji na tę jeremiadę przed oczyma staje mi św. ojciec Pio (którego ks. Boniecki, mam nadzieję, będzie naśladował w pokorze), trudno o lepszą puentę.